

NAUKA I ROZRYWKA

Dodatek bezpłatny do „Dziennika Bydgoskiego“ Wychodzi co 2 tygodnie.

Nr. 26.

Bydgoszcz, niedziela 19 grudnia 1909.

Rok II.

Z motywów Szopena.

O graj

Jak szumi święty gaj,
Gdy pieśń go zbudzi drżąca
Jak szumi święty gaj
Gdy wiatr mu liście trąca.

Jak wzdycha polny kwiat
Pojony krwawą rosą
Jak wzdycha polny kwiat
Osnuty w cień i mgły.

O graj

Jak płynąc w niebios kraj
Anioły w gwiazd dyademie
Jak płynąc w niebios kraj
Żegnają chmurną ziemię.
Jak z naszych smętnych chat
Najkrwawsze skargi niosą,
Jak z naszych smętnych chat
Do Boga niosą lzy.

O graj

Jak stroi kwietny maj
Samotnych grobów tyle
Jak stroi kwietny maj
Tak krzyże na mogile.
Jak sieje ciche lzy
Tajonym łkając płaczem
Jak sieje ciche lzy
Cmentarna ziemia ta.

O graj

Jak wionął cudny raj
Jak drzemią pogrzebne dzwony
Jak minął cudny raj
Do dzisiaj nie wróceny.
Jak krwawo tęsknisz ty
Dla czego... po kim... za czem...
Jak krwawo tęsknisz ty
Jak krwawo tęsknię ja.

Or-ot

Dobroczynny wietrzyk.

Pan Jacenty wychodzi sobie, jak zwykle przed wieczorem z domu, aby się udać do ogródka na chłodne piwko, a przed domem patrzy ku niebu i tak mówi do siebie:

— Hm, hm, zanosilo się na deszcz, a ja zapomniałem parasola, ale wracać się nie ma potrzeby, chociażby szkoda było mojego nowego cylindra, — hm, hm, z pewnością deszczu nie będzie, bo wiatr rozpędzi chmury, dość zresztą w ostatnich czasach było deszczu! Prawdziwie dobroczynny ten wietrzyk!

Tak rozumując kroczył pan Jacenty z powagą naprzód, ale wnet zmienił swoje zdanie o dobroczynności wiatru, gdy tenże cylinder zwał mu z głowy i prosto wpędził do partelowego mieszkania domu, około którego właśnie przechodził, przez okno, które na oścież stało otworem.

Zły na nierozsądnych ludzi, którzy przy takim wietrze okna mają otwarte, wszedł pan Jacenty dosieni domu, aby w odnośnem mieszkaniu poprosić o swój kapelusz.

Tymczasem młoda dama, pani owego mieszkania, nie mało była zadziwiona na widok cylindra, który tak bez ceregeli wleciał do niej przez okno.

— Potrzebny mi tu ten kapelusz! — mówiła do siebie. — Gdyby mój zazdrosny mąż teraz przyszedł do domu i ten kapelusz zobaczył, mógłby mnie o niestworzone rzeczy posądzić. Niech leci, zkad przyleciał!

To powiedziawszy wyrzuciła kapelusz za okno.

Wtem zadzwonił ktoś u drzwi, a po chwili nadeszła służąca z oznajmieniem, że pewien łysy, opasły jegomość prosi o swój kapelusz, który tu miał niby wlecieć przez okno. Dama wyszła do sieni i rzekła:

— Przepraszam pana, żeś się pan napróżno fatygował, ale nie wiedząc, czyj to kapelusz, wyrzuciłam go znowu oknem, przez które wleciał, i teraz leży na ulicy.

Pan Jacenty skłonił się grzecznie i wyszedł, ale pomimo że wytrzeszczał oczy, kapelusza nigdzie nie widział, co tem dziwniejszem było, że w pobliżu nie zobaczył żadnego przechodnia, któryby go był mógł zabrać.

— Ano, może go ta pani jeszcze nie wyrzuciła! — pomyślał sobie i wrócił znowu do domu.

Tymczasem gdy poprzednio z damą w sieni rozmawiał, nadszedł z biura mąż owej damy i z daleka już zobaczył, jak z okna jego mieszkania wypadł elegancki cylinder.

Hoho! Moja żona ma gościa! — zawołał, zacinając zęby, podniósł kapelusz i trzęsąc się

z gniewu wszedł eichaczem tyłem przez podwórze do domu, aby niewierną żonę zdybać.

To było powodem, że pan Jacenty ani kapelusza nie znalazł, ani przechodnia nie zobaczył. Gdy teraz znowu zadzwonił i wpuszczony przez służącą zbliżył się do drzwi pokoju, usłyszał wrzaski rozwścieklonego męża i płacz i zaklinania się pięknej damy. Nie pytając wcale, o co tu chodzi, wszedł pan Jacenty do izby i grzecznie o swój kapelusz poprosił. Ale też w tej samej chwili poczuł swój kapelusz na głowie, a następnie ciężką pieść spadającą kilkakrotnie na kapelusz, tak że tenże mu wleciał aż do brody; potem uczuł się pochwyconym, gwałtownie wyprowadzonym, a po malej chwili — rym! — zleciał z trzech stopni przed domem i leżał na brzuchu na bruku ulicznym z pogniecionym i wpędzonym na oczy cylindrem.

I niech kto teraz będzie mądrym z tego, co się stało!

A to dopiero dobroczynny wietrzyk!

Wieczór sobotni.

Dzieci spać położyła; troje śpi na tapczanie w kącie izby pod piecem, czwarte leży w kołysce; kołyskę pożyczyła jej sąsiadka. Boże dobry, jaka ta sąsiadka szczęśliwa; dzieci ma już odchowane, do szkół je posyła, mąż pracuje uczciwie, pieniądze jej wszystkie oddaje, do domu po pracy wraca, nie pije. Boże miłosierny, jaka ta sąsiadka szczęśliwa.

A jej mąż, jej Kazio? I on kiedyś był taki pracowity, zdolny i trzeźwy. Nie tak to dawne czasy. Pamięta, jak to chodziła do niego wieczorem do warsztatu, jak on zrywał się na jej widok z radością, przybiegał, całował w czoło, podawał jej krzesło i mówił:

— Zaczekaj, Zosieńko, zaraz kończę.

Sam właściciel podawał jej rękę, uśmiechał się dobrotliwie i mówił:

— A to panią mąż kocha, no, no! A może pani być dumna z niego, bo to zdolny człek, dzielny chłop, nie ma co.

Patrzała, jak w rękach jego migaly narzędzia, aż dziw brał. A w jej obecności jeszcze się bardziej starał, jeszcze bardziej mu zależało na tem, by okazać się zręcznym i zdolnym.

— No, bywajcie zdrowi! — żegnał ich łaskawie pryncypał.

Jej Kazio był pierwszym, jej Kazio był szanowany, jej Kazio wykonywał najtrudniejsze, najdelikatniejsze roboty.

Wracała do domu wsparta na jego ramieniu, i tak jej było dobrze. Tak była szczęśliwa.

— No, a co moja gosposia dziś zrobiła?

— Zobaczysz, to niespodzianka.

I w rzeczy samej, codziennie przygotowywała dla niego coś nowego, a miledgo: albo kupiła bukiet niedroгих kwiatków (jej Kazio tak kwiatki lubił), to znów szczygła kupiła (Kazio tak się serdecznie ucieszył), to znów przygotowała naleśniki z sera.

— Bardzoś się zmęczył? — pytała troskliwie.

— Cóż znowu? To ty się zanadto męczysz gospodarstwem — odpowiadał.

— O, ja przyzwyczajona w domu macochy... — zaczynała.

— Nie mów mi o tej złej kobiecie — przerzywał Kazio.

Tak, ona sierota była. Macocha tak ją drczyła w dzieciństwie, a gdy ojciec z rozpaczy rozpił się i umarł, macocha znęcała się nad nią bezprzykładnie.

I zjawił się wówczas Kazio. Widział ją, jak wieczorem kłęzała przed zamkniętą bramą kościoła i płakała. I pokochał ją. Czego macocha nie robiła, żeby go odsunąć od pasierbicy. Gdy widziała, że nie pomagają żadne obmowy i kłamstwa, zabroniła mu przychodzić do domu swego. Zamykała ją, biła, śledziła. Ale pewnego razu Kazio przyszedł z księdzem do nich, ksiądz długo z macochą rozmawiał, i zła kobieta musiało ustąpić.

Pobrali się i żyli tak szczęśliwie.

Gdy urodziło im się dziecko, Kazio bardzo się cieszył. Później już nie mogła chodzić codziennie po męża, ale w sobotę przychodziła z maleńkim Bolkiem...

I co się stało z nim później? co się stało? co się stało z jej mężem Kaziem?... Nie, nie pamięta, myśleć o tem nie chce. Czy źli ludzie znaleźli posłuch u Kazia i czy urok kto rzucił na niego? Nie, niema chyba ludzi tak złych... Komu ona zawiniła, co ona komu złego zrobiła, dlaczego pozazdrościli jej tego szczęścia, którego zakosztowała po tylu latach męki? Dlaczego, poco oni to zrobili? Dlaczego on nie pozwolił jej przychodzić po siebie do warsztatu? Śmiali się podobno, że ona go pilnuje, że się tak daje żonie za nos wodzić. Tak mówił Kazio. Ale dlaczego dawniej się nie śmiali?

Potem znów... Boże, jak ona mogła to przeżyć? Dlaczego nie umarła? Tak pamięta doskonale, co on mówił. Każde słowo dziś jeszcze pali jej twarz, jak rozpalone żelazo.

— Znajda. Z ryszstoka cię wzięłem. Gdyby nie ja, tybyś już dziś siedziała w kryminale.

Był pijany. Sądziła, że gdy wytrzeźwieje, przeprosi ją. I przeprosił nawet, ale nie tak, jak ona myślała. A wreszcie, musi przyznać w duszy, że mu nie przebaczyła. Nie, takich słów się nie przebacza.

A potem było coraz gorzej. Teraz ona, matka dzieci, poczuła, że musi walczyć. Gdyby nie dzieci, byłaby poszła w świat, wolałaby najcięższą pracę, niż pożycie z człowiekiem, który ją kiedyś tak kochał, a teraz tak ją nienawidzi. Nie dawała mu obiadu, a nie przynosił pieniędzy. Nie otwierała mu drzwi, gdy wracał pijany. Bił ją, ona biła jego.

Nędza i stokroć gorsza nienawiść zapanowała w ich domu.

Dlaczego, dlaczego to wszystko się stało?

Na nędzę można poradzić, chodziła do prania, do mycia talerzy w restauracji. Ludzi dobrych nie brak na świecie. Sąsiadki pomagały jej. A wreszcie... okradała męża.

Właściciel chciał go wyrzucić z warsztatu. Poszła, do nóg mu się rzuciła. Co to za ból straszny. Toć dawniej Kazio jej był pierwszy. A teraz słyszała od właściciela warsztatu same wyrzuty. I zdawało jej się, że to nie dla niego, nie dla męża wstyd, ale dla niej i dla dzieci. Ułtował się nad nią, część zarobku męża jej wypłacał...

I pod wpływem tych wspomnień strasznych zapłakała ciężko. I lzy ołowiane spadły na głowinę dziecka. I dziecie przez sen zakwiliło żalownie. I to kwilenie tak mocno szarpało duszę matki, że ból ten zrodził myśl doniosłą....

Gdy mąż pijany powrócił do domu, nie czyniła mu wyrzutów. Ta cisza wielka, to milczenie oskarżające rozdrażniło pijanego.

— Czego ty gęby nie otworzysz? — zapytał. —

— Bo nie chcę ciebie zasmucić, Kaziu. Tyś i tak bardzo nieszczęśliwy.

Pijak patrzył na żonę krwią nabiegłymi oczyma i nie rozumiał:

— Ja nieszczęśliwy? dlaczego? — pytał zdziwiony.

— Połóż się, Kaziu jutro o tem pomówimy....

— Mów teraz rozumiesz? — zawołał.

— Nie mów, Kaziu, tak głośno — szepnęła — bo dziecko obudzisz.

— Co? Ja Kazio? A tak, tak, Kazio jestem. Prawda, Kazio — powtarzał swe imię, którego tak dawno nie słyszał z ust żony. — A tak, Kazio. Więc niech Kazio dzieci nie budzi, niech śpi — pieścił się, jak dziecko.

A gdy już leżał i zamknął oczy, czuł gorący pocałunek na czole.

— Kazio grzeczny, Kazio śpi, — szeptał, zasypiając pijak.

Gdy na zajutrz otworzył oczy, żony ani dzieci nie było. Leżał długo, z trudem zbierając myśli. Wreszcie wstał, ubrał się szybko i wyszedł.

Nabożeństwo się już skończyło. On mimo to szedł w stronę kościoła. Jakiś głos wewnętrzny mu mówił, że tam iść powinien. I w rzeczy samej poczucie nie omyliło go: przed zamkniętymi drzwiami kościoła klęczała żona z dzieckiem na ręce, a obok niej troje starszych klęczało.

Pan Kazimierz długo patrzył na ten obraz. Wspomnienia zaroily się w duszy jego. Wreszcie rzekł głośno:

— Jezu Ukrzyżowany, przysięgam na Twe Imię święte, że do śmierci kropli wódki do ust nie wezmę!

Podobno trudno odzwyczaić się od wódki. Mówię „podobno“, bo pan Kazimierz bez trudu wykonał to, na co był przysięgł. I znów szczęście, dobrobyt wstąpił w dom jego. I znów jest on pierwszym w swoim warsztacie, a żona razem z nim i dziećmi spędza przy książce każdy wieczór sobotni. Dzieci się uczą, ktszałca, a on jest tak bezgranicznie szczęśliwy...

Do wojska.

(Obrazek śląski)
„namalował“ Jan Sier.

Na dworcu kolejowym w Katowicach ruch ogromny; na placu dworcowym, w poczekalniach i na peronie gliwickim pełno ludzi. Przeważa sfera robotnicza a wśród niej ludzie młodzi z kuferkami i walizkami w ręku. Są to rekruci, czekający na specjalny pociąg, który nadjechać ma niebawem od Mysłowic i zawieźć ich do wojska.

Każdego odprowadza ktoś z swoich: rodzina, przyjaciele, kochanka a niektórego już i żona. — Wszyscy upominają, nie szcędzą rad i dodawają odwagi.

— Mój Zefliku — rzecze matka do syna — a pamiętaj tam o Panu Bogu i pieniądze szanuj. Nie smykaj się z koncendrami po nocach, nie pij gorzały a lepiej se do zjedzenia co kup i wyśpij się porządnie. Do spowiedzi chodź tak często jak w domu a na nabożeństwo co niedziela; wiedz, że nie przeżyłabym tego, gdybyś się wiary swej zaparł i stał się jakim lutrem. Pisuj nam często i o wszystkim, my również to uczynimy, a gdy będziemy mogli, to ci co poszlemy. — Tu matczyńsko poczciwie ogładnęło się za mężem, a widząc go rozmawiającego z inną grupą, wyciągnęła z kieszeni małą zwitkę i rzekła cicho: — tu jeszcze masz dziesięć marek, którem po kryjomu dla ciebie odłożyła, weź je, bo ci się tam przydają. Ojciec by ci ich nie dał, bo mówi, że to, co dostałeś w domu, powinno ci styknąć. A tu, moje dziecko, masz medalik częstochowski, nośże go na sobie i módl się zawsze, szczególnie, gdy ci ciężko będzie. Ja też codziennie będę prosiła Matkę Najświętszą o łaskę dla ciebie, aby ci się dobrze powodziło i byś zdrów wrócił za dwa lata. Tylko, jeszcze raz powtarzam, o Bogu nie zapominaj i grzechu się strzeż!

— Dobrze, mamulko kochana — wykrztusił syn i zalał się łzami, bo miękki był i matkę serdecznie kochał. Zobaczył to ojciec, stary wojak, i jak nie huknie:

— A ty, co becysz jak baba? — dziecie go, będzie mi tu szlochał jak panna młoda. Człowieku, wstydu mi nie rób, bo gdy ludzie zobaczą, to nie uwierzą, żeś synem starego Dęboka. Niezego się, synku, nie bój, swoje tylko zrób, a zobaczysz, że wszystko dobrze pojdzie. Juźcić z początku trudności będą, ale za to potem, żyć będziesz jak krepel w maśle. Unteroficyrowi i gefrajtrowi „dej na lepsz“ a nie będą cię „sznykować“ — z własnego doświadczenia ci to mówię. Obowiązkiem twoim: milczeć, słuchać i robić co każą. Pozór se dej na wszystko, „filipem“ ruszej, a zobaczysz, że za rok, po manewrach, „knefle“ dostaniesz. Na Gody prosz o urlop i przyjeżdżaj do domu, byśmy cię odfutrować mogli, bo cię tam z początku trochę wyglodzą. No, „poręczono starej szopie,“ chodźmy dalej.

Poszli do poczekalni, gdzie panował niezmierzony tłok, zwłaszcza koło „szynkfasu,“ przy

którym starano się wypiciem „na zdrowie” wyrazić odejżdżającym dobitniej serdeczne życzenia. Ogólną uwagę zwracała na się kupka wesółych szleprów, żegnająca hałaśliwie kolegę Hanyśa, bukśa pierwszej klasy. Z pod Koźło pochodził, to go też tu z rodziny nikt nie odprowadzał, tylko ci wierni towarzysze od niecek i łopaty, „zabrawszy” sobie w tym celu szychę. Złosciły się „dziady” z filara, oberhajer pieronił, a sztygar karą groził, ale nie to nie pomogło, bo szleper, co chce, to robi, zwłaszcza gdy trzeba „ferajn” trzymać. Rano więc, zamiast „przeblóczkowego” do „badehauzu,” wdzieli wszyscy ubranie odświętne, znany szleperski „ancug:” szerokie „galoty” (gigerl) i „żakiet na dwa knefle.” Do tego czerwony długi „szlips,” jak wyglądzony cienki „dymuś,” kapelusz Borsalino, z szerokim obwodem i na bakier włożony, z lewej strony nad uchem „pusz” i mina jak dziesięć chacharów. Tak się wszyscy uroczyście ubrawszy, zeszli się na dworcu i „oblewali” od rana odjazd Hanyśa. Porządnie im się już więc teraz „z czupryn kurzyło” a języki o mało wewnątrzności nie wygadały... takie były rozwiązane. Najwięcej prawil „rezerwa” Feliks, który codopiero od wojska wrócił i opowiadając własne doświadczenia, przedstawiał rekrutowi życie wojskowe w różowym świetle.

— Pieronie, Hanyś — krzyczał — zazdroszeje ci Wrocławia. Tam dopiero jest życie, bo miasto „fajne” a dziochy takie, że „palce lizać.” Jeżeli chcesz, by ci dobrze było przy wojsku, to se wyszukaj „lipsty”... jedną u szynkarza, drugą u masarza, a trzecią w sklepie. Do tego jedną dobrą kuchare, a padom ci, że ani w niebie nie będziesz miał lepiej. Jadła i picia ci nie braknie a w niedzielę na „Kränzchen” i pieniądze przyniosą... jednym słowem: anielskie kochanki w tym Wrocławiu. Ażebyś wiedział, że ci od serca przyjaciele, polecam ci Martę Goikową, z którą ci „gut” bydzie jak w prawdziwym goju. Masz tu jej adres, jest to dziocha nasza, od Bytomia pochodzi... tańczy jak „sto djobłów” a kocha jeszcze bardziej. Powiedz jej, że ci polecil na swego następcę i staraj się też zastąpić mnie w zupełności, t. j. po szlepersku. Dobra dziocha, mój kochany, to grunt powodzenia przy wojsku; unterofieyr według tego ci będzie szacował. Aha, a co do unterofieyra, to w pierwszym roku musisz go słuhać, nawet dziochy odstąpić, lecz za to jako „stary chłop,” nie daj se już w kaszę pluć i wal od razu w „jedzenie,” bo tylko w ten sposób nauczysz go respektu. Ze „sztubengefrajtrem” trzeba ci trzymać przez pierwsze miesiące, lecz nie zanadto, bo to, po największej części, fałszywe pierony. Po „Kompanieggzeczyrcé” w styczniu i wcieleniu was w szeregi starszych, trzymaj ze starymi chłopami a od gefrajtra nie dej se już rajcować. A dobrze wszystko zamykaj, bo bestyje kradną jak szczury. No, Hanyś... dej pyska, niech ci się powodzi jak najlepiej.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Oreż.

Wstawajcie chłopcy! zmówcie pacierze!
Już słyhać dzwonek na jutrznię,
Potem niech każdy oreż wybierze:
Łuk, strzały, oszczep lub włócznię.

— Ja chce, mój ojce, wziąć ten miecz długi,
Co to pamięta „Psie pole”
I nieraz krwi już przelewał stragi.
— Bierz go mój jasny sokole.

— I mnie, rzekł drugi, męstwa nie zbywa
Chwyce łuk mocny i strzały
I niechaj dźwięczy głośno cięciwa.
— Bierz go rycerzu mój mały.

Trzeci stał blady, chwiał się jak trzoina,
Uśmiech mu igrał na twarzy,
Ojciec z westchnieniem zagadnął syna:
— Czem ty chcesz hufiec zmódz wraży.

— I ja mam straszny oreż w mej dłoni
Co szarpie, kasa jak żmija,
Jak ryś zgłodniały za łupem goni
I krew z pod serca wypija.

Przed jego razem uciekaj z duszą,
Uciekaj, nędzny człowiecze,
Pęknie ci zbroja, kopie się skrusza,
Rdza pożre spisy i miecze.

Bułaty, dzidy, oszczepy, strzały,
I wszelkie śmierci narzędzie
Zniszczeje, zniknie, jak ten pył biały —
Mój oreż wiecznie trwać będzie —

— Co to jest? — szepcą bracia zdziwieni
I wrokiem wodzą ponuro.
— Patrzcie! — to mówiąc dobył z kieszeni
W czernidle zmaczane... pióro!

W. Rapacki, syn.

Humorystyka.

Glupiec i mądry.

Pewien głupiec natrząsał się z uczonego,
że ma wielkie uszy.

— Prawda, rzecze uczone, jak na człowieka
wielkie mam uszy, ale ty, jak na osła, bardzo masz małe.

Usprawiedliwił się.

Pewien gamoń, przypatrując się wystawie sklepowej, stłukł przez nieostrożność szybę, chcąc tedy uwolnić się od odpowiedzialności, pobiegł cwałem w ulicę, lecz na szczęście został przytrzymanym przez dopędzającego go właściciela sklepu,

— Mam cię bratku, toś ty mi stłukł szybę,
— Ja, panie.

— A dla czegoś uciekał?

— Bom się spieszył do domu po pieniądze aby panu zapłacić za szkodę.





